NUMER 7. DNIA 18. LUTEGO 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Los pałaców.

„*Heu quantum mutatus ab illo...*“ o jakże zmienił się bardzo, możnaby zawołać z Wirgiliuszem na widok zamku w Rzeszowie, odnowionego, przebudowanego, upiększonego, o całe piętro podwyższonego, a wszystko w myśl planów, zatwierdzonych przez c. k. ministerstwo sprawiedliwości. Gdy się porówna stan zamku Lubomirskich z r. 1752, tak, jak go podaliśmy w poprzednim numerze „Tygodnia“, z obecną siedzibą sądu obwodowego, którą obok podajemy, to ma się wrażenie, jakby jakiegoś rozwichrzonego, w zaniedbanym stroju i rozczochranego dekadenta ubrał ktoś nagle w mundur ze złotym kołnierzem i trzema gwiazdkami...

Ho! ho! — okna równo pod sznur wyciągnięte, dymniki, rynny, dwa piętra, porządek, austrjacko biurokratyczna monumentalność, wieża...



ZAMEK RZESZOWSKI PO ODNOWIENIU.

(Według fotografji E. Janusza.)

I tylko ta wieża pozostała dziś na świadectwo i wspomnienie dawnego, zamkowego charakteru obecnej siedziby rzeszowskiej sprawiedliwości. Przebudowana i uzupełniona według planu kapitana Wiedemanna z r. 1752, różni się ona znacznie od tej wieży, do której przez długie lata przyzwyczaiło się oko mieszkańców Rzeszowa. Jest większa, piękniejsza i monumentalniejsza, z bardziej stylowym szczytem, ale przecież nie ta sama, którą zapamiętał mur obwodowy z kawalierami i podmurowana fosa zamkowa...

Mur ten i fosa są też jedynymi oryginalnymi szczątkami oraz świadkami przeszłości zamku rzeszowskiego i jego dumnych ongi dziedziców... Dziwił się zapewne bardzo referent ministerstwa sprawiedliwości, gdy kładł swój podpis na planach przebudowy zamku rzeszowskiego... bo sąd obwodowy z takimi średniowiecznymi akcesorjami, z fosą

i murem fortyfikacyjnym dość jest dziwną rzeczą w austrjackim stylu koszarowo-urzędowym. Już ta wieża zanadto odbiega od szablonu — któż bowiem widział kiedy w Galicji nowo zbudowany budynek sądowy... z wieżą! Westchnął tedy wiedeński biurokrata i doznał uczucia ulgi, że przynajmniej czworobok dawnego zamku przebudowany został... *correct*... podług tradycyjnych wzorów austrjackich.

J.

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY. 2)

„Towarzyszka“ śmierci.

(Z CHWIL REWOLUCYJNYCH.)

(Ciąg dalszy.)

Inni koledzy i koleżanki, związani już ciepłym, mocnym węzłem ciężkiej roboty i wspólnych doświadczeń, czując wielką odrębność i obcość tej gruzińskiej „towarzyszki śmierci“, zachowywali się z szczególnym względem niej chłodem, z rosnącą wciąż antypatją.

— Jesteś pani istotnym aniołem śmierci — mawiał do niej z przekąsem młodszy chirurg oddziału, skąd inąd wcale dobra dusza. — Tak, aniołem... lub raczej pięknym jej demonem, bo z ckliwych rąk anielskich słodkie tylko spływają dary, a śmierć, zwłaszcza tutejsza, do tej kategorji chyba nie należy.

Starszy lekarz budował nawet całą hypotezę:

— W tem obsługiwaniu umierających dzika wschodnia kobieta musi znajdować jakąś zwyrodniałą przyjemność może... Coś z uczuć czerni, przypatrującej się straceniu. My wszyscy zdrowi, normalni ludzie chętnie tych pacjentów opuszczamy, nie mogąc już nic im pomóc i ustępujemy miejsca księdzu spowiednikowi; ona zaś wyławia ich naprawdę wpośród żyjących na kształt szakala lub hjeny.

Nie przeszkadzało mu to z uczuciem wielkiej ulgi i z wielką nawet grzecznością zwracać się do siostry Tamary po długiem i trudnem „babraniu się“ i badaniu:

— Nie mam tu już nic więcej do roboty. Miłaja siestrica, proszę go wziąć pod „swą“ opiekę.

Nieraz złorzeczono jej nawet, gdy „kandydatów do ręki jej opiekuńczej“ było tak dużo, iż nie zdążała zakrzątnąć się przy nich „po swojemu“.

— Gdzie siostra Tamara? — wołano wówczas ze stron różnych. — My tu nie damy rady z opatrunkami, a oto i ci „jej ranni“ dogorywają na naszych rękach.

Na wszystkie docinki — czy to w formie żartu złośliwego, czy z rozdrażnienia płynące, nie odpowiadała wcale, milcząc, jak duch zaklęty, co najwyżej czasem tylko wzruszając ramionami, lub „tajemniczo“ się uśmiechając.

Duchowi też, zjawisku dziwnemu upodobniała się coraz bardziej w tem otoczeniu, pełnem realnej grozy i męki, stojąc na straży odlatujących stąd duchów i gardząc życiem cielesnem i ziemią.

Krucze łamane warkocze otaczały jej bladą, zdrobniałą twarz niby gęstym wieńcem cierniowym. Oczy jej albo się ćmiły czarem litości bezmiernej, konając, zda się, wraz z konającym, albo pałały grozą takiego oburzenia, że tkwiły w nich miecze ogniste.

Zawsze pozostawała sam na sam z ludzką męką i zbrodnią — i z sobą tylko, upadającą pod krzyżem tej męki i pod ohydą tej zbrodni.

Tymczasem rosła nieustannie jej zła sława i wędrowała w ślad za nią w szybkim odwrocie oddziału sanitarnego wraz z rozbitkami wojska.

Wśród ciemnej służby niższej oraz ciemniejszej części wyzdrawiających żołnierzy, świadków tylu już zgonów na jej ręku, powstało przekonanie, że ona to właśnie śmierć przynosi każdemu, kto znajdzie się „w jej łapach“. I ciżbę tę objął strach zabobonny. Gdy „inteligencja“ wojskowa i medyczna orzekła, że śmierć pociąga nieprzeparcie ku sobie tę wschodnią duszę zwyrodniałą, warstwy dolne zdecydowały, że za nią wszędy śmierć ciągnie, że ona sama jest wcieleniem śmierci.

Kiedyś nad ranem, po całonocnem czuwaniu, gotowa już była zdrzemnąć się na poręczy żelaznego łóżka swego pacjenta — wyjątkowo w dobrym znajdującego się stanie. Oczy jej poczęły mocniej się zwierać, a pierś oddychać spokojniej w dusznym baraku, gdy uszu jej doleciał głośny szept rozmowy jednego z sanitarjuszy z lekko rannym podoficerem.

— Biedak Wasiljew! Nie zdobrowat' jemu. Gruzinka już czyha nad nim.

— Odpędzić by należało do djabła to czarne licho! — odburknął podoficer. — Wszędy śmierć wlecze za sobą! Taką nieszczęsną ma rękę! A szkoda chłopa... Możeby się jeszcze wylizał.

Udała śpiącą, chociaż oprzytomniała w okamgnieniu i tylko spojrzenie jej, pełne przestrachu, zwróciło się z pod przymkniętych powiek ku choremu. W słabem świetle latarek ujrzała najwyraźniej utkwione w siebie, również pełne przestrachu, oczy młodego żołnierza.

Po paru chwilach udanego snu podniosła się ostrożnie, zgnębiona i niespokojna i schyliwszy się nad nim, cicho go o coś spytała.

Ten nagle uniósł się na posłaniu i ryknął na cały pokój płócienny, zapchany łóżkami i ciałami:

— Precz ode mnie, wiedźmo przeklęta! Wygonię cię i długo jeszcze żyć będę i na wieś swoją wrócę, zdrowiutki, jak ryba! Won ty szatanie czarny!

Cofnęła się odrazu, jak błędna — i biegła stamtąd z przestrachem zbrodniarza, schwytanego na gorącym uczynku.

Oparła się dopiero przy bramce w chłodzie sinej, szarzejącej już ku wschodowi nocy. Tchu jej zabrakło, głośny jęk wydarł się z piersi mimowoli, spazmatyczne prawie łkanie wstrząsało całem jej ciałem.

— Co to jest? Co pani się stało? — pytał ją jakiś głos nie tyle z serdecznem — ile z grzecznem współczuciem, — i jakaś postać kobieca zaczerniła się i zabielała przy niej, nawet w tym modrym mroku znacząc się kontrastami ubrania.

Przez gęstą zasłonę łez i nocy poznała w niej jedną ze starszych, najbardziej pospolitych, „najdalszych“ od niej sióstr oddziału. A jednak wulkan wrzący w jej piersi po długiem ukrywaniu się w najgłębszych tajnikach — wybuchł tym razem z siłą rozpętanego żywiołu, wybuchł gorącą lawą wyrzutów, skarg i łez.

— Czego wy wszyscy chcecie ode mnie? Tak, wszyscy, zaczynając od tak zwanej inteligencji, a kończąc na ostatnim drabie posługaczu! Czego chcecie ode mnie?! Widzę przecież wasze spojrzenia lodowate lub zatrute ślepą niechęcią! Rozumiem dobrze wasze dowcipy i drwiny! „Anioł“ czy „demon śmierci“, „hjena gruzińska!“ A jednak sami wciąż zrzucacie najgorsze ciężary na moje osłabłe ręce. I nic nie dbacie o to, że serce moje kona wraz z tymi konającymi tyle razy, ach tyle razy! „Dzikie czy zwyrodniałe instynkta wschodniej niewiasty“! — komentowali aż nazbyt wyraźnie ci uczeni panowie, właściwie ślepcy i obskuranci!... Nie raczyłam im nigdy odpowiadać, bo byłoby to spowiedzią z najlepszych może, najsubtelniejszych popędów duszy mojej, tak dla nich niedostępnych i dziwnych! Znosiłam wszystko dla tych męczenników moich, tem bardziej, że będąc sama wpośród was męczennicą, rozumiałam ich lepiej, niż wy wszyscy razem! Nie gardziliście, o nie! moją służbą „grabarza!“ Uciekaliście sromotnie od rzężeń i skarg ostatnich, od próśb ich i łez!... Myślałam, że oni przynajmniej, ci skazańcy, odczują mię, odgadną! Że oni przez pryzmat swych gasnących serc dojrzą krwawą ofiarę mojego!... A oto dziś, przed chwilą, odepchnęli mię oni, lęku i nienawiści pełni! Wasze piekielne to dzieło!



W DRODZE NA WAWEL: Portret kobiecy, mało znane dzieło Artura Grotgera — (ze zbiorów p. H. Budzynowskiej).

W mroku mignął nagle zygzak czerwony papierosa, ciśniętego na ziemię; ławka skrzypnęła; ktoś zerwał się z niej i postąpił ku gruzince.

— A! to całkiem coś innego! — ozwał się głos, pełen zdumienia.

Zanim mogła pokombinować, czyj to jest głos i czego chce od niej, — zesztywniała, skurczyła się — i weszła znowu w głąb siebie samej, najgłębiej, najdalej... Nie obejrzawszy się nawet, zbiegła na dół po stopniach i szybkim krokiem podążyła gdzieś w czarne pole, ku płowym, złocącym

się zaledwie krańcom horyzontu — z bezmyślną już burzą wyczerpania w głowie i piersi.

Ucieczkę tę bezcelową, automatyczną przerwał ten sam słyszany przed chwilą głos męski:

— Po co tak pędzić, kiedy nikt nie goni? Oprócz mnie zresztą. Tchu złapać nie mogę!

Teraz dopiero nieco przytomniejąc, poznała w ciemnej postaci studenta - medyka, któremu zawdzięczała przezwisko hjeny.

(C. d. n.)

JÓZEF JEDLICZ.

* * *

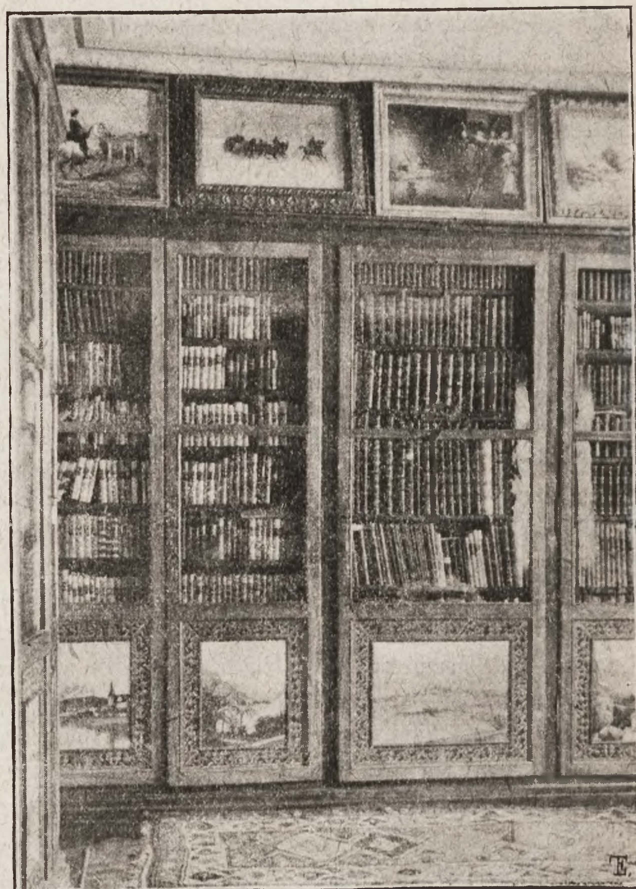
To nie cud śmiać się w szczęściu! — Cud nad cudy
Uśmiech na ustach mieć, gdy rana boli!
Wśród śmierci łuną życia zdumieć ludy
I róść i mocą ogromnieć w niewoli! —

To nie cud w mocy grozić! — Cud nad cudy
W nędzach niewoli światu grozić duchem!
W męczarni stworzyć wielkie szczęście złudy,
I żyć — i w niebo wylatać z łańcuchem!...

W drodze na Wawel.

Na scharakteryzowanie zbiorów p. Heleny z Dąbczańskich Budzynowskiej, ofiarowanych niedawno hojną dłonią na Wawel — krótkich słów niema. To bowiem, co się mieści na razie w uroczej willi przy ulicy Cytadelnej, a co ozdobi z czasem komnaty wawelskie, nie jest ani bibljoteką, ani zbiorem rycin, ani galerją obrazów, ani wreszcie kolekcją antycznych okazów przemysłu artystycznego.

Czemże więc? — Wszystkiem po części i wszystkiem w całości. Po części, bo na zbiory p. Budzynowskiej złożyły się i bibljoteka i ryciny, obrazy i mnóstwo niezrównanych rzeczy z przemysłu artystycznego — w całości, bo gdyby wyjąć książki, to powstałaby z nich bibljoteka o 12.000 tomów, sztychy i rysunki ręczne stworzyłyby gabinet o 10.000 egzemplarzy, 300 obrazów to już pokaźna galerja, a zbiór starożytnych tkanin, haftów ręcznych, porcelany, zegarów, mebli z najrozmaitszych epok, mnoga kolekcja drobiazgów artystycznych wypełnić by mogła większe nawet muzeum publiczne.



Jedna z szaf bibljotecznych p. H. Budzynowskiej.

Życia kwiat, życia czar, doczesnych dni rafinowane piękno, czasem aż nieużyteczne w swojej piękności, aż zapamiętałe w zbytku i przepychu, szemrzące przecywilizowaną fantazją każdej epoki... to będzie treść tego, co się znajduje przy ul. Cytadelnej l. 3.

Nie dziwiłoby to wszystko w muzeach i zbiorach publicznych — ale przy ulicy Cytadelnej niema muzeum, a jest tylko prywatne mieszkanie. I to właśnie podpędza fantazję w krainy bajecznych illuzji, że muzeum, bibljoteka, galerja obrazów zamienione zostały w prywatne mieszkanie i w tym

mieszkalnym charakterze w całości przeniesione zostaną na Wawel.

Próbowano wartość zbiorów p. Budzynowskiej oszacować na pieniądze, lub na przymiotniki „cenny“, „nieoszacowany“, nawet „królewski“ — miara ta jednak byłaby właściwą dopiero wtedy, gdyby właścicielka zechciała spisać pamiętniki swojej szlachetnej, powiedzmy, manji zbierania pamiątek. Kto widział p. Budzynowską w górnych „apartamentach“ antykwarni Hölzla, w ciasnocie książkowej antykwarjusza Igla, kto słyszał jej konferencje z handlarzami, agentami, pośrednikami w handlu antykami, te targi, w których tyleż się musi mieścić temperamentu, ile subtelnej dyplomacji, nie wyjawiającej nigdy, co się o wartości danej rzeczy naprawdę myśli — ten zrozumie, że obok pieniężnej i majątkowej wartości, zbiory p. Budzynowskiej mają ponadto wartość trzydziestu lat życia, młodego, energicznego, samodzielnego, które wszystkie swe dary przyrodzone i nabytą wiedzę i subtelność rzuciło na tę kolekcję, szukając, jak raz już powiedziano, w ofierze z niej horacjuszowskiego „*non omnis moriar*“ — nie umrę wszystek.

Główną cechą zbiorów p. Budzynowskiej jest obok wszechstronności ich... kosmopolis kulturalna. Wszystko, co ma kulturalną wartość zabytkową, lub nawet w wielu wypadkach współczesną, gromadzi p. Budzynowska bez względu na narodowość, kraj, obszary etnograficzne, czy cywilizacyjne. Jedyne kryterjum w wyborze stanowi indywidualność właścicielki, a ponieważ indywidualność ta bujna jest, o szerokich rzutach i wysubtelnionym smaku, więc też nic dziwnego, że np. bibljoteka jej składa się z dzieł w siedmiu europejskich językach pisanych, od inkunabułów, cennych druków polskich, bibljograficznych rzadkości rozszerza się aż do autorów francuskich, angielskich i dalej, od druków poczajowskich aż do luksusowych wydawnictw współczesnych, od Elzewirów do prymitywnych i grubych druków oficyn krakowskich czy lwowskich dawnych.

Toż samo można powiedzieć o kolekcji sztychów i rysunków ręcznych. Od wieku XVI aż do najnowszych czasów reprezentowane są w tym olbrzymim zbiorze imiona wszystkich mistrzów, Chodowiecki obok Dürrera, Falck, Norblin, Oleszczyński, Stachowicz, Grotger, Michałowski, a obok współcześni malarze, karykaturzyści itd. Nie pytać, co tam jest, ale raczej o to, co z rzeczy rzadko spotykanych najbardziej uderzy, jak np. kolorowane miedzioryty Dietricha, przedstawiające wojsko polskie w r. 1831, w rzadko spotykanej ilości 18 sztuk, lub Gersona — ubiory ludowe, litografowane przez Lemerciera lub taki naprzykład widoczek lwowski: plac Bernardyński w r. 1806, rysowany współcześnie przez Kordulę Potocką.

Inną, specjalnie lwowską osobliwość stanowi w zbiorze obrazów p. Budzynowskiej duży obraz olejny, najdawniejszy zabytek malarstwa lwowskiego cechowego, przypisany, na podstawie bystrych obserwacji i studjów prof. Bołoz Antoniewicza, Józefowi Wolfowicowi, autorowi obrazu Matki Boskiej Domagaliczowskiej w katedrze. Obraz ten przedstawia śmierć patrycjusza, o którego duszę spór zacięty wiodą szatani z reprezentantami zakonu dominikańskiego. Środek płótna zajmuje postać Matki Boskiej, otoczona całym szeregiem figur świętych, pod względem ikonograficznym bardzo ciekawym. Najciekawszym jednak dla badacza historji Lwowa jest umieszczony na tym obrazie widok kościoła Dominikanów we Lwowie, jeszcze przed przebudową, dokonaną w połowie XVIII w., z czasów, kiedy ten kościół miał formy gotyckie i fronton zdobny szczytem ze sterczynami, czyli tz. kominkami krakowskimi.



Szafa ze starożytną porcelaną (ze zbiorów p. H. Budzynowskiej).

Do ogólnej historji sztuki natomiast należy inny obraz ze zbiorów p. Budzynowskiej, którego

podobiznę obok podajemy. Jest to portret jednego z członków rodziny Dąbczańskich, mało znane dzieło Artura Grotgera, które poza tem, że znajdowało się na urządzonej onego czasu wystawie Grotgerowskiej, nigdzie nie było reprodukowane ani omówione. Dzięki uprzejmości p. Budzynowskiej, podobizna tego cennego dzieła sztuki dostaje się po raz pierwszy do szerszej wiadomości na szpaltach „Tygodnia“.

O innych obrazach mówią same nazwiska mistrzów, jak Corregio, Dolabella, van Dyck, Lampi, Tiepolo itd. itd., którzy są reprezentowani w tej bogatej galerji.

Jeżeli co jednak, to zbiór starożytnych tkanin, materji, haftów ręcznych, czepców, ofiarowany również na Wawel, wywołuje prawdziwą senzację u takich znawców, jak ks. Żarnowiecki, autor dużego dzieła o tkaninach, lub p. Świeykowski z Krakowa, a niesłychany efekt optyczny u tych, którzy ocenić potrafią jedynie piękność deseni i harmonję barw. Około czterystu makat, zrobionych przeważnie ze starożytnych ornatów i kap, od XV do XVIII wieku, lub najrzadszych a przepysznych tkanin lyońskich i innych, tyftyki tureckie i płaszcze, samych szalów tureckich 30, pasy perskie i indyjskie etc., czepce niewieście rosyjskie, tyrolskie, żydowskie, szwedzkie, niektóre złote, dawne szpalery i materje do obić, w dużych sztukach, wszystko to oglądane sumarycznie wywołuje formalny zawrót głowy, a w mózgu wirującą orgję barw, deseni, kwiatów, złota, srebra, przetykanych a w fantastycznych kierunkach biegnących nitek jedwabiu, złotogłowiu, jednem słowem wszystkiego, co tylko w ciągu wieków wymyślić zdołało tkactwo pięknego, efektownego, kosztownego. Jeżeli może być tutaj mowa o jakichkolwiek cenach, to wystarczy powiedzieć, że jedna tylko jedyna chustka turecka oszacowaną została przez znawców na 2.000 kor. a kapa z XV wieku, wyrobiona z prześlicznej materji włoskiej, wywołała formalny zachwyt u samego ks. Żarnowieckiego.

Cóż jeszcze? Że między innymi pójdzie na Wawel także cenna kolekcja starej porcelany, której cząstkę przedstawia umieszczona obok rycina, meble bogate a stylowe z różnych epok i czasów, mnóstwo drobiazgów artystycznych z kości słoniowej, masy perłowej itd., wachlarze malowane z XVII i XVIII w., kilkanaście zegarów ozdobnych z XVIII w. itd. itd.

A razem z tą olbrzymią kolekcją pójdzie także na Wawel dobra chęć właścicielki ozdobienia pustych komnat królewskich tem wszystkiem, co uszczknęła z szarzyzny codziennej, jako czarowne kwiecie, a co wypełni komnaty barwistą iluzją i zadowoleniem wielkiej, subtelnej kultury.

Bo życia czar i życia kwiat stanowi taka pogoń za okruchami piękna rozmaitych czasów, ludzi i epok.

Fr. Jaworski.

STANISŁAW ELJASZ-RADZIKOWSKI.

W obronie polskiej mapy Tatr.

(Ciąg dalszy.)

Zresztą my mamy nazwy nasze, czy to rdzennie polskie, nadane przez nasz lud, czy to nazwy przejęte od ludu słowackiego, a przez nas odpowiednio do praw naszej głosowni przekształcone, czy wreszcie nazwy utworzone i przyjęte przez naszych przewodników, strzelców, pasterzy, w końcu przez naszych podróżników i autorów.

Niechże się nie dziwi autor oceny, a tem mniej niech się nie zżyma, że my po swojemu nazywamy różne miejsca w Tatrach, chociaż leżą za granicą węgierską. Nie robimy tego z jakichś względów polityczno-szowinistycznych, tylko po prostu dlatego, że tak te miejsca nazywamy, a wydając mapę polską dla naszego użytku, inaczej postępować nie możemy.

Ponieważ nomenklatura nasza jest samoistna, a każda nazwa polska ma swoją historję, nic więc dziwnego, że nie zgadza się z nomenklaturą niemiecką. Dziwić to tylko może autora oceny, przytacza bowiem liczne przykłady najdowolniejszych, jak powiada, przechrzczeń. Do nich zalicza nazwy właśnie dawne, albo nawet bardzo dawne, jak np. Czarny Szczyt, Dolina Kieżmarska, Dolina Rakuska, Łomnica potok, Łomnicki Staw, Mały Lodowy, Rakuska Czuba, Staroleśniański Potok itd. Weźmy niektóre z nich, bo o wszystkich trudno się rozpisywać.

C z a r n y S z c z y t nazywa się tak od dawna; strzelcy nasi, przewodnicy najstarsi, jak Maciej Sieczka, Jędrzej Wala, Szymek Tatar, a tak samo strzelcy, koziarze z Jurgowa, nazywali ten szczyt Czarnym i tak samo zowią go też młodsi przewo-

dnicy. Synonimem nań jest nazwa Papirowy Szczyt, od niejakiego Papira, czy Papierza, który się tu zabił dawnymi czasy. Nazwę tę ostatnią znał Jędrzej Wala, słyszał ją od Spiżaków. Mapa polska dała pierwszeństwo nazwie więcej u nas znanej.

Dolina Kieżmarska, nazwa bardzo dawna, używana u naszych górali i na Spiżu, początkiem swoim sięga w czasy, kiedy posiadłości miasta Kieżmarku rozciągały się szerszem pasmem w tem miejscu, niż dzisiaj.

Dolina Rakuska, tak samo jak poprzednia nazwa bardzo dawna.

Łomnica potok, nazwa pierwotna potoku, którą osadnicy niemieccy przetłómaczyli na Steinbach. Potem, gdy nad tym potokiem powstała osada, nazwano ją od potoku także Łomnicą, i ta już nazwa utrzymała się w nomenklaturze niemieckiej, przeinaczona stosownie do praw głosowni niemieckiej na Lomnitz. Gdzież tu więc mówić i komu zarzucać najdowolniejsze przechrzczenie?

Mały Lodowy Szczyt także nazywa się tak już dość dawno u naszych przewodników i nazwa ta, wybrana bardzo słusznie, określa stosunek tego szczytu do sąsiedniego, za przełęczą Lodową — Szczytu Lodowego. Cóż nas może obchodzić, że Niemcy zowią ten szczyt „Breiter Thurm“? Czyż mamy nazwę tłómaczyć na szeroką turnię dlatego, że się tak nazywa w nomenklaturze niemieckiej? i stwarzać sobie na dobitek jeszcze jedną Szeroką, kiedy już mamy Szeroką Bielską i Jaworzyńską!

Tak samo ma się rzecz z każdą inną nazwą, która się nie podoba autorowi oceny.

Możemy zresztą pochlubić się, że nasza nomenklatura jest niejednokrotnie lepsza od niemieckiej, a ta ostatnia mogłaby nawet, korzystając z naszej, poprawić błędy niewątpliwe w nazwach niemieckich. Ale do tego trzeba bezstronności i zrozumienia stanowiska naszego bez uprzedzeń do nomenklatury, jaką podaje nasza mapa. Podam jeden tylko i to bardzo dobitny przykład.

Bujaczy Wierch w Tatrach Bielskich nazywają Niemcy Stirnberg i tak piszą nazwę, jakby pochodziła od czoła-Stirn. Nazwa polska, niewymyślona, której używają górale polscy ze Żaru, z Lendaku, z Maciaszowiec, poucza, że jest to Stierenberg przez skrócenie Stiernberg — od wyrazu bujak, czyli młody byczek, zachowanego w nazwie polskiej.

Czy jednak ze wskazówki tej skorzysta nomenklatura niemiecka, wątpić należy, sądząc po uprzedzeniu, z jakiem patrzy na naszą nomenklaturę autor oceny, który, jak to widać, rozumie język polski, jeżeli się wdaje w omawianie krytyczne nazw naszych.

Co do tłómaczenia nazw polskich na niemieckie, jak np. Zakopane - Grabensdorf, o czem autor oceny zapowiada jakby na przyszłość z ironią — możemy wysłuchać podobnej propozycji bez najmniejszej drażliwości. Nazywano już przecież dawniej Gąsienicowe Stawy, zupełnie poważnie w literaturze niemieckiej, dotyczącej Tatr, Raupen-Seen. Przyjmowaliśmy to tłomaczenie z uśmiechem, bez najmniejszego żalu do autora niemieckiego, który widocznie nie rozumiał, że nazwa ta tylko pozornie ma związek ze zwyczajną gąsienicą. Minęło to zresztą i dzisiaj, jeżeli już autor niemiecki chce nazwę przystosować po swojemu, to napisze Gąsienica-Seen i nikt z nas nic nie może mieć przeciwko takiej nazwie, bo ta jest najwygodniejsza dla czytelnika czy podróżnika niemieckiego.

Rzecz zupełnie inna, gdybyśmy np. chcieli nazwy uprawnione tłomaczyć i to by już było niedorzecznością, za jaką należy bezwzględnie uważać propozycję, aby Zakopane ochrzcić Grabensdorfem, Kościeliska -Kirchenauem, a Bukowinę Buchwaldem.

Wtedy tylko możnaby wymyśleć dla nas podobne przykłady, gdybyśmy np. usiłowali z Kieżmarku zrobić jakiś serowy targ (Käse-markt) czy coś podobnego. Bo że my mówimy i piszemy Staroleśna, kiedy urzędowo nazywa się ta wieś po węgiersku Felsö-Erdöfalva, a w języku mieszkańców niemieckich Alt-Walddorf, wykazujemy przy tem chyba więcej konsekwencji, aniżeli to się dzieje tam na miejscu. U nas, jak kto zajrzy do dzieła Staszica, znajdzie już tam nazwę Staroleśnej. A na Węgrzech jak? Przez wiele lat pisali tam autorowie niemieccy Alt-Walddorf. Potem wyrzekli się tej nazwy, choć to osada bezsprzecznie niemiecka i zaczęli używać nazwy urzędowej węgierskiej O'-Leszna. Ba, ale co dalej! Rząd węgierski rozmyślił się, nazwę zmienił, bo widocznie zawadzała ta dość przejrzyście zmieniona leśna i wprowadził nową nazwę urzędową Felsö-Erdö-falva. Tę nazwę przyjęła zaraz nomenklatura niemiecka, — i do czegóż to prowadzi w końcu, czy i nas ma obowiązywać takie postępowanie! A takie zmiany są na porządku dziennym, rok temu pewna miejscowość nazywa się tak, po roku znowu inaczej.

Albo inny przykład. Szczyt Sławkowski zowie się tak od wsi Sławkowa, którą na-

zywa nomenklatura niemiecka Schlagendorf, mniejsza o to już, czy nazwa najwyraźniej nie mówi, że to osada założona przez jakiegoś Sławka. W każdym razie Schlagendorf jest nazwą miejscowości, używaną tam od dawna, więc Szczyt Sławkowski nazywa nomenklatura niemiecka najzupełniej słusznie: Schlagendorfer Spitze. Co się jednak dzieje dalej. Nazwę wsi zmienia rząd węgierski na: Nagy-Szalók, a nomenklatura niemiecka natychmiast, choć to przecież nazwa bardzo niewygodna dla głosowni niemieckiej — przyjmuje nazwę dla Szczytu Sławkowskiego w nowem brzmieniu: Nagy-Szalóker Spitze.

(Dok. nast.)

PRAWDY I WSKAZANIA.

O walce i nagrodzie zwycięstwa.

Jak długo będzie trwała walka? Trwać będzie aż do końca dni waszych, aż do najwyższej ofiary, aż do chwili, w której wyzwolicie się z wszelkich kompromisów, staniecie się panami waszej woli — i przestaniecie się wahać wobec nakazu: wszystko albo nic. Jakież będą straty? Wszystkie wasze pragnienia, wszystkie ograniczenia, które wprowadzacie do Świętej przysięgi, złocone kajdany niewoli, wszystkie narkotyki, które was usypiają! Co będzie nagrodą zwycięstwa? Wola czysta, wiara podniosła, dusza niepodzielna i ta zdolność do poświęcenia, która sprawia, że oddajemy wszystko z radością, życie nawet, wreszcie korona cierniowa dla każdego czoła: oto wasza nagroda. *H. Ibsen* („Brand“)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Mieczysław Świtkowski: Wspomnienie o Tomaszu Świtkowskim. — Odbitka z „Przewodnika nauk. i liter.“ we Lwowie 1905.

Jeszcze w r. 1833 wyszła mała broszurka Tomasza Świtkowskiego, majora wojska polskiego p. t.: „O wzięciu Woli“, prostująca opisy tego wypadku w dziełach Sołtyka i Umińskiego a zarazem podająca ostatnie chwile jenerała Sowińskiego.

Otóż co do tej ostatniej sprawy utarła się legenda, że Sowiński zginął u stóp ołtarza, a Świtkowski, naoczny świadek tego, twierdził w tej broszurce, że zginął na szańcach. Lecz protest ten minął bez echa, a dopiero w ostatnich latach znowu się ta kwestja pojawiła w przeważnej części z powodu napisania przez p. Tokarza życiorysu Sowińskiego, ze starem legendarnem zakończeniem. Autor tej rzeczy więc podaje życiorys Tomasza Ś. i jeszcze raz przypomina tę zapomnianą już jego broszurkę, a zarazem stanowczo broni poglądu jego o śmierci Sowińskiego, który zginął na reducie. Wywody autora w polemice z przeciwnikami tego zapatrywania są zupełnie uzasadnione, a wobec tego spór ten, toczący się nad rzeczą bądź co bądź małej wagi, wobec innych z tych samych dni, znacznie ważniejszych, zdaje się, powinien być zakończony i to zwycięstwem rozumowań p. Mieczysława Świtkowskiego.

br.

ZAPISKI.

Spis prac dr. W. Kętrzyńskiego. Bibljografowie otrzymali w tych dniach publikację pt. *Dr. Wojciech Kętrzyński. Pisma, 1865—1905.* Jest to zamknięty na 19-tu stronicach najdokładniejszy spis prac dr. Kętrzyńskiego, obraz znamienitej jego naukowej i obywatelskiej zarazem działalności, którą rozpoczął od recenzji dzieła „Studien zur Cultusgeschichte Polens von Adler“, umieszczonej w „Dzienniku Poznańskim“ z 29. grudnia 1865 r. Od tej daty rozpoczyna się imponujący szereg jego dzieł, wydawnictw, studjów, dobytych mozolnie z pod kurzu archiwalnego materjałów, rozbiorów i sprawozdań, rzeczy, cenionych nietylko u nas wysoko, ale znanych i w świecie historycznym za granicą, zwłaszcza zaś w Niemczech, gdzie stawały się nieraz powodem namiętnych nawet, stronniczych polemik. W roku ubiegłym minęło też lat 30 od zajęcia przezeń ważnego stanowiska w Ossolineum, którego po Auguście Bielowskim jest zasłużonym pod wielu względami dyrektorem. Członek czynny Akademji Umiejętności w Krakowie, poznańskiego Tow. przyjaciół nauk i Naukowego w Toruniu, Tow. litewskiego w Tylży, historycznego w Petersburgu, archeologicznego w Moskwie, mazurskiego w Lecu, śląskiego historyczno-archeologicznego we Wrocławiu, konserwator austrjackiej komisji sztuki etc., nie spoczywa na mozolnie zdobytych laurach, lecz mimo siódmy krzyżyk trudzi się bezustannie ku pożytkowi nauki polskiej. Dr. Wojciech Kętrzyński ogłosił także i w „Tygodniu“ pracę p. t. „Żywioł niemiecki na ziemi poznańskiej“, którą drukowaliśmy w roku ubiegłym w nr. 26, 27 i 28.

Pomnik ułanów polskich w Lublinie. W Lublinie stał opuszczony dotychczas pomnik na cześć ułanów polskich, poległych podczas potyczki z Austrjakami w r. 1809. Pomnik ten, świeżo odnowiony, został poświęcony 10. grudnia 1905 r. z wielką uroczystością. Jest to skromna, smukła kolumna, która z postumentem łączy się w nader harmonijną całość.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Koperuika 5.